

· K · R · Z · Y · S · Z · T · O · F ·
H A L A D Y N



OSTATNIE
NAMASZCZENIE



· K · R · Z · Y · S · Z · T · O · F ·
H A L A D Y N
OSTATNIE
NAMASZCZENIE

ILUSTRACJE
PAWEŁ ZARĘBA

fabryka słów®
Lublin – Warszawa

*Iustum enim est bellum quibus necessarium,
et pia arma, ubi nulla nisi in armis spes est.*

Sprawiedliwą bowiem jest wojna dla tych,
dla których jest konieczna, i błogosławiony jest
oręż, jeśli tylko w nim cała spoczywa nadzieja.

Tytus Liwiusz



ROZDZIAŁ PIERWSZY

Przebacz mi, Ojczy, bo zgrzeszyłem. Obraziłem Boga następującymi grzechami... – Zwykle po tych słowach przestawałem ich słuchać.

W końcu co mógł powiedzieć mi Lis, ten dziewiętnastoletni rudzielec ze śladami trądziku na twarzy? Jak grzeszył? Gniewem? Trudno się nie wściekać. Obżarstwem? Przecież przymieramy tu głodem. Zabijał? Ja też. Przeklinał? Nic innego nie pozostało, jak tylko kłać w bezsilnej furii.

Chłopak mamrotał swoje grzechy, klęcząc z pochyłą głową obok pniaka, na którym siedziałem. Upierali się, żebym spowiadał ich tak jak w konfesjonale, zamiast zwyczajnie porozmawiać. Zależało im na tych pozorach, choć żaden od dawna nie był w kościele. Wierzyli, że pomogę

im zbawić dusze, że po tej całej beznadziejnej walce będzie czekać na nich nagroda lub przynajmniej że nie spotka ich kolejna kara. Obiecywałem im to, choć sam wtedy grzeszyłem kłamstwem. Bóg nie zwracał uwagi na nasze prośby. On słuchał zwycięzców. Najpierw aryjskiej rasy panów, dziś czerwonych olbrzymów. Igrzyska trwały w najlepsze, a my byliśmy jedynie najmniejszym, skomlącym pomiotem rzuconym między nich na Jego arenie.

– ...proszę o pokutę i rozgrzeszenie. – Lis podniósł głowę i spojrział na mnie.

– Bóg Ojciec Miłosierdzia, który pojednał świat ze sobą przez śmierć i zmartwychwstanie swojego Syna, niech ci udzieli przebaczenia, przez posługę Kościoła i ja odpuszczam tobie grzechy, w imię Ojca, Syna i Ducha Świętego. – Po tylu latach wypowiadałem tę formułę mechanicznie i bez zastanowienia.

– Amen. – Zawsze podobało mi się to westchnienie ulgi.

– Za pokutę odmów dziesięć zdrowasiek i trzy „Ojczy nasz” podczas czyszczenia broni. Pan odpuścił ci grzechy. W imię Ojca i Syna, i Ducha Świętego, idź w pokój. – Pożegnałem go znakiem krzyża.

Chłopak wstał z klęczek, a ja dźwignąłem się z pniaka. Spojrział na mnie spod rudej grzywki zielonymi oczami dziecka.

– Dziękuję, Książdz – powiedział i podał mi rękę.

– Nie ma sprawy. Idź czyścić karabin.

Odszedł, a ja wyciągnąłem papierosa. Odpaliłem go zdobyczną benzynową zapalniczką, zastanawiając się, czy rabowanie trupa podpada pod kradzież, jeśli się najpierw człowieka postrzeliło w brzuch, a potem dobiło bagnietem. Były na tym świecie rzeczy i sytuacje, o których nie

ucz yli w seminarium... Zaciągnąłem się głęboko, wyrzucając z głowy takie rozważania. Nie byłem tu od myślenia, tylko od posługi. No i strzelania. Paliłem, a drzewa szumiały wokół w zapadającym zmierzchu. Polski las, dopóki my się w nim kryjemy. Polski, póki my żyjemy.

Chwilę później podszedł do mnie Bury. Dowódca oddziału, którego stopień porucznika można było rozpoznać jedynie po czapce. Mundur miał brudny i połatany, dokładnie taki sam jak my wszyscy.

– Wypowiadaj mnie, Ksiądz. – Jego oczy były spokojne jak zawsze, ale głos zdradzał niepokój.

– Aż tak źle? – zapytałem, gasząc niedopałek pod butem.

– Wrócił zwiad. Lekko nie będzie. – Bury był oszczędny w słowach.

Ponownie usiadłem, dowódca ukląkł i zaczął spowiadać. Zabijał. Pałał gniewem. Klął. Nic nowego. Wciąż te same grzechy opowiadane wszystkowiedzącemu Bogu z prośbami o przebaczenie. Niekończąca się litania żalu, bólu i strachu, której nie słuchał już nikt oprócz mnie.

Bury skończył, a jego miejsce zajęła Czajka. Później Topol, Suchy, Kot, Zygryd... Sęk pniaka boleśnie wbijał mi się w tyłek, ale wiedziałem, że wypowiadam dziś ich wszystkich. Sam nie opowiem moich występków nikomu. Bóg i tak o nich wie, tyle tylko, że ma je w dupie.

Dowódca zarządził zbiórkę po zmroku. Staliśmy skupieni wokół ogniska. Cały pluton, w sumie ponad pięćdziesiąt osób. Bury mówił już spokojnym głosem, jakby planował defiladę.

– Wróciło rozpoznanie z Psigacic. Główne siły czerwonych opuściły miasteczko, zostały dwa plutony, na oko

z osiemdziesięciu ludzi. Ze sprzętu zostawili sobie jeden czółg i haubicę. Wygląda na to, że zamierzają tam obozować dłużej. Ich zadaniem jest prawdopodobnie wytropienie i wyeliminowanie nas i innych grup. Dlatego przywitamy ich pierwsi.

Lekki szmer rozniósł się wśród żołnierzy, ale w sumie nikt nie był szczególnie zaskoczony. Lepiej walczyć, niż czekać, aż zagonią cię jak zwierzę i zarzną.

– Nie spodziewają się ataku, myślą, że jest nas tutaj znacznie mniej – kontynuował. – Uderzamy o piątej nad ranem z dwóch stron. Hrabia z jedną drużyną od zachodu, reszta ze mną od południa. Lasem możemy podejść właściwie aż pod pierwsze budynki. Wchodzimy po cichu, jak najdłużej bez strzelania. Zdejmować wartowników bagnetami. Staramy się spotkać przy szkole, to duży parterowy budynek, czerwoni urządzili sobie w nim koszary. Jeśli wszystko pójdzie dobrze, podejmiemy tam niezauważeni. Wtedy wrzucamy przez okna granaty i walimy do uciekających. Jasne?

– Tak jest. – Ciche głosy zdawały się wyrażać powątpiewanie, że wszystko pójdzie tak łatwo.

– Moja drużyna wyrusza o trzeciej. Hrabia po godzinie. – Odprawa dobiegła końca.

W obozie zapanowała cisza.

Każdy, czyszcząc broń, jak mantrę powtarzał swoją pokutę. Zaklinali karabiny i pistolety, w imię Ojca i Syna, i Ducha Świętego. Ostrzyli i polerowali bagnety w rytm kolejnych „Zdrowaś Mario”, aby nie zawiodły ich w jutrzejszej walce.

– Książd, wstawaj. Już czas. – Bury potrząsnął mnie za ramię, wrywając z płytkiej drzemki. Dziwne, myślałem, że nie zasnę, zwykle przed akcją mam z tym problemy. Widać wszystko z czasem powszednieje, zabijanie i groźba śmierci również.

Jesienna noc była chłodna. Nad ściółką wilgotny opar mgły przelewał się wśród pni. Szybkimi ruchami rozgrzałem zastale z zimna mięśnie i podążyłem z oddziałem.

Nocny las nigdy nie jest cichy. Ożywa głosami zwierząt śpiących za dnia, szepce wiatrem poruszającym korony drzew i cicho śpiewa wodą w niewielkich strumieniach.

Starając się nie zakłócać tych melodii, brnęliśmy przez ciemny bór w kierunku miasteczka. Szedłem w drużynie porucznika Burego, obchodzącej Psigacice tak, żeby wejść od południa. W nikłym świetle szarzącego przedświtu potykałem się o wystające korzenie, starając się skupić wyłącznie na marszu. Mocno zaciskałem szczęki, czując, jak żołądek z nerwów podchodzi mi do gardła. Może i przyzwyczailem się już do tej beznadziejnej walki, ale i tak przed potyczką zawsze chciało mi się rzygać.

O czwartej trzydzieści dotarliśmy na miejsce. Zagajnik podchodził prawie pod same zabudowania, byliśmy więc dobrze osłonięci. Kryjący się za kępą zarośli Bury przywołał nas gestem. Kucnęliśmy wokół niego, gotowi wysłuchać ostatnich rozkazów.

– Lis, Czajka, Książd, Suchy i ja ruszymy przodem. Rozsypujemy się między budynki, zdejmujemy czerwonych bez hałasu. Każdego z nas ma ubezpieczać z tyłu

dwóch ludzi. Zaczynamy strzelać w ostateczności. Kierujemy się w stronę centrum, do ratusza.

Ostatnie pół godziny oczekiwania było zawsze najgorsze. Strasznie chciało mi się palić, ale musiałem się powstrzymać. Kuciałem w zaroślach, żując młodą gałązkę świerka, a nerwy miałem napięte jak postronki. Wreszcie Bury kiwnął na mnie ręką i ruszyliśmy w stronę pierwszych zabudowań.

Psigacice to nieduże miasteczko. Nie było tu widać śladów walk, „wyzwoliciele” weszli długo po ucieczce Niemców. Teraz wkraczaliśmy my, aby wyzwolić choć kawałek ojczyzny od nowego najeźdźcy.

Pochylony podbiegłem do tylnej ściany najbliższego budynku. Bury szedł po mojej prawej, Czajka zwinie przekradała się z lewej. Lisa i Suchego nie widziałem, pewnie zostali gdzieś dalej. Przypadłem do ściany i wyjąłem bagnet z pochwy. Długie ostrze zalśniło w pierwszych promieniach wschodzącego słońca. Ruszyłem, starając się stąpać jak najciszej. Straciłem resztę drużyny z oczu, ale wiedziałem, że właśnie rozchodzą się po miasteczku, cicho siejąc śmierć.

Pierwszego trupa zobaczyłem tuż za rogiem budynku. Całkiem jeszcze żywy, stał tyłem do mnie, paląc papierosa. Zbliżyłem się bezszelestnie i wbijając ostrze od spodu w żuchwę, zamieniłem go w stygnące ciało. Chciałbym powiedzieć, że poczułem, jak dusza z niego ucieka, ale ruscy żołnierze chyba jej nie mają. Jedyne, co się z niego wydostało, to strumień ciepłego moczu plamiący spodnie munduru. Cicho ułożyłem zwłoki na ziemi i ruszyłem dalej. Przemykałem od ściany do ściany, cały czas kierując się w stronę centralnego placu. Wychodząc zza

kolejnego naroźnika, wpadłem wprost na następnego czerwonoarmistę patrolującego ten teren. Spojrzał na mnie równie zdziwiony co ja, jego wzrok zawiesił się na ociekającym krwią bagnecie w mojej dłoni. Oprzytomniałem ułamek sekundy wcześniej i tylko to uratowało mi życie. Skoczyłem, łapiąc go lewą ręką za twarz i dźgając w szyję. Powaliłem na plecy, wyszarpnąłem ostrze i dziabnąłem jeszcze raz. Zbryzgała mnie gorąca krew, ciało zwiotczało. Leżałem na nim jeszcze chwilę, nasłuchując. Wyglądało na to, że naszej szamotaniny nikt nie usłyszał. Podniosłem się i zobaczyłem, że zza sąsiedniego budynku obserwuje mnie Czajka. Pomachała do mnie i złączyła palec wskazujący z kciukiem w geście gratulacji.

Ruszyliśmy dalej w ciszy. Dotarłem do ostatnich zabudowań przed głównym placem. Cały czas nie było słychać strzałów, wszystko wskazywało na to, że akcja przebiega dokładnie tak, jak zaplanował Bury. Wyrzuciłem za róg i rzuciłem okiem na rynek. Na jego północnej linii stał niewielki barokowy kościółek, od wschodu spory parterowy ratusz, obok którego zaparkowany był czołg T-34. Placyk był pusty, jeśli nie liczyć dwóch strażników przy wejściu do tymczasowych koszar. Obok świątyni zobaczyłem przemykające postacie, pewnie drużyna chorążego. Pochyleni, unikając wzroku warty, kierowali się w stronę ratusza. Za mną zupełnie nikąd znalazł się Bury. Zawsze dziwiło mnie, jak facet jego postury może poruszać się tak zwinnie.

– Biorę ludzi z granatami i idziemy. Jak się zacnie, ruszajcie w stronę drzwi i walcie do uciekających – szepetem wydał krótki rozkaz i już go nie było.

Chwilę potem poranną ciszę rozdarły odgłosy wybijanych szyb i głośne wybuchy. Ułamek sekundy później

strażnicy przy drzwiach padli martwi na ziemię, ustrzeżeni przez snajperów drużyny Hrabiego. Wypadłem na plac, ściągając z pleców karabin. Schowałem się za niskim murkiem i wymierzyłem. Czerwonoarmiści, których nie załatwiły granaty, zaczęli wybiegać z budynku, a my otworzyliśmy ogień. To była malownicza rzeź, przy wąskim wejściu rosła sterta trupów. Eksplozje wewnątrz wyganiały ludzi wprost pod nasze lufy.

Pierwszy olbrzym wypadł z domu po lewej. Wyglądał przerażająco. Miał na oko ze trzy metry wzrostu i pepszę w każdej ręce. Rycząc dziko, strzelał, zupełnie nie szukając osłony. Pokrył ogniem połowę placu, trafiając kilku z naszych, a resztę zmuszając do przerwania kanonady i ukrycia się. Wystawiając lufę ponad murkiem, starałem się strzelać w jego kierunku, ale nie widziałem, z jakim skutkiem. Schowałem się i przysiadłem za osłoną, żeby założyć nowy magazynek, gdy drzwi domu za mną wyleciały z zawiasów. Wyszedł z niego drugi wielkolud i od razu zgarnął kilka trafień w brzuch od Czajki, kryjącej się nieopodal.

Pociski przeszływały jego mundur i szarpały ciało, widziałem, jak wokół bryzga krew. Olbrzym zdawał się tym nie przejmować. Odwrócił się w stronę dziewczyny i z rykiem zaczął biec do niej, wymachując dwoma bagnetami wielkości sporych mieczy. Widziałem wszystko jak w zwolnionym tempie. Czajka poderwała się do ucieczki, magazynek mojego karabinu wreszcie z kliknięciem wskoczył na miejsce. Puściłem skoncentrowaną serię w plecy potwora, wypruwając połowę amunicji. Pociski pewnie strzaskały mu kręgosłup, ale on tylko zatrzymał się i powoli obrócił w moją stronę. Spojrzał na

mnie, a jego ogromną twarz wykrzywił grymas przypominający uśmiech. Zrobił ku mnie kilka kroków, znów zacząłem strzelać. Ręce latały mi na boki, trafiłem go może ze dwa razy, zanim karabin się zaciął. Gigant zrobił kolejny krok do mnie, gdy desperacko szarpałem zamek broni. Spod munduru wysliznęły mu się sine sploty jelit. Odrzucił jeden miecz i wolną ręką złapał wnętrzności, próbując wepchnąć je z powrotem do brzucha. Cały czas przy tym szedł, nie spuszczając ze mnie wzroku. Suwadło w końcu puściło z metalicznym trzaskiem, posłałem krótką serię w napastnika. Celowałem w głowę, ale pociski w większości chybiły celu. Jeden lub dwa z nich rozdarły mu tylko skórę na policzku. Czerwonoarmista puścił swoje trzewia, które upadły na ziemię z paskudnym mlaśnięciem, i zamachał ręką, jakby chciał odgonić muchę. Ponownie nacisnąłem spust, ale magazynek był już pusty. Wyszarpnąłem z kabury pistolet, lecz w tej samej chwili czaszka olbrzyma eksplodowała, trafiona przez snajpera. Bezgłowe monstrum zrobiło jeszcze dwa kroki, opadło na kolana i potem na twarz na ziemię. Zdałem sobie sprawę, że na placu zapadła dzwoniąca w uszach cisza.

Pozbierałem się i stanąłem na chwiejnych nogach. Rozejrzałem się, nasi żołnierze opuszczali kryjówki, wychodząc na dziedziniec. Wszystko wskazywało na to, że wygraliśmy. Zgiąłem się w pół i zwymiotowałem. Czując w ustach żółć i trzęsąc się od wypalanej adrenaliny, niemal obrzygując sobie buty, cieszyłem się, że nie zginąłem.

– Sprawdzić teren, dobić rannych. Naszych opatrzyć. Hrabia, raport strat – Bury już wykrzykiwał rozkazy.

Z domów zaczęli ostrożnie wychodzić cywile. Wystraszone oczy ludzi, którym udało się przetrwać Niem-

ców i Rosjan, spoglądały na nas nieufnie. Nie dziwiłem się im – nie wiedzieli, czego się po nas spodziewać, więc oczekiwali najgorszego.

Bury odnalazł burmistrza i wszedł z nim do domu.

* * *

Resztę poranka spędziłem, pomagając ściągać trupy czerwonoarmistów do zbiorowej mogiły w lesie. Gdy zawlekliśmy tam wszystkie ciała, Hrabia zapytał:

– Ksiądz, chcesz coś powiedzieć?

– Pokój waszym duszom. Trzeba było zostać u siebie – stwierdziłem, patrząc na kłębowisko zwłok.

Żołnierze zasypali dół, a ja poszedłem jeszcze kawałek w głąb lasu.

W niewielkim młodniku wykopane były cztery groby. W każdym z nich spoczywało zawinięte w płótno ciało. Obok czekały już przygotowane krzyże z brzozonego drewna. Odprawiłem krótką ceremonię pogrzebową dla naszych. Używałem tych wszystkich pięknych słów, które tak bardzo lubią wojskowi. Odwaga, bohaterstwo, poświęcenie, honor. Standard. Poległym to nie pomogło, za to żywi poczuli się chyba nieco lepiej.

Wróciłem do miasteczka około południa. Chciałem coś zjeść i trochę odpocząć, ale na placu spotkałem Burego.

– Chodź, Ksiądz, rzucisz na coś okiem – zaczął mnie tonem nieznośnym sprzeciwu.

Niechętnie powlokłem się za nim. Zaprowadził mnie do jakiejś szopy. Na podłodze leżały dwa trupy olbrzymów, nad którymi pochylał się Hrabia.

– Widziałeś ich kiedyś z bliska? – zapytał dowódca.

– Nie, z tak bliska nigdy. Czym oni są? – spytałem, nie mogąc oderwać wzroku od trzymetrowych postaci. Nawet leżąc na ziemi, wyglądali imponująco. Szerokie klatki piersiowe, nogi jak słupy, ramiona niczym kowalskie młoty. Jeden z olbrzymów nadal miał głowę. Krótko ostrzyżone włosy, masywne czoło i kwadratowa żuchwa nadawały jego twarzy jakiś pierwotny wyraz.

– Nie wiemy. Spójrz na to. – Hrabia zdjął truposzowi górną część munduru.

Ciało olbrzyma było podziurawione jak sito. Nawet dwie takie rany byłyby dla zwykłego człowieka śmiertelne. Skórę znaczyły blizny układające się w regularne, koncentryczne wzory. W wielu miejscach zobaczyłem tatuaże, jakby wykrzywione litery cyrylicy, czerwone gwiazdy, a na piersi sierp z młotem. Pod tą mozaiką wi-
dać było ogromne mięśnie, pokryte guzami i naroślami.

– Te ich... malunki... – Hrabia pokręcił głową. – Dziwnie się robi od samego patrzenia.

– To nie są ludzie... To prawdziwe czerwone olbrzymy! – wyrwało mi się.

– Nie używaj tego określenia przy naszych – przestrzegł mnie Bury. – Ciała spalimy.

Wyszliśmy z szopy. Nie mogłem się otrząsnąć po widoku tych wielkoludów. Przyjąłem papierosa od dowódcy i zaciągnąłem się głęboko.

– Możemy tu zostać kilka dni – zaczął Bury. – Gadałem z burmistrzem, są trochę nieufni, ale pozwolą nam odpocząć. Rusczy nie zjawią się tutaj zbyt szybko, nikt nie zdołał uciec, więc nawet nie wiedzą o klęsce.

– Co potem? – zadałem odwieczne pytanie.

– Wracamy do lasu. Zabieramy czołg i haubicę, ukrywamy i planujemy dalsze akcje. Może ktoś z miejscowych się przyłączy? – Bury popatrzył w dal.

– A później? Przecież oni tu wrócą.

– Ksiądz, kurwa, co ja mam ci powiedzieć? Wiesz, tak jak wszyscy, że z nimi nie wygramy! – wściekł się. – Alianci mają nas w dupie, cały świat ma nas w dupie, a do tego Ruscy wyhodowali sobie jakichś nieczułych na ból wielkoludów. Co chcesz usłyszeć? Mamy się poddać?!

Rzucił niedopałek na ziemię i odszedł szybkim krokiem. Byłem zły na siebie, że tak głupio zapytałem. Każdy z nas w głębi ducha wiedział, że nasza walka skończy się, gdy spoczniemy w jednej z leśnych mogił, podobnych do tych, które wykopaliśmy dziś rano. Zgasilem papierosa i ruszyłem przez miasteczko. Nogi same zaniósły mnie do niedużego barokowego kościółka. Trudno się pozbyć dawnych nawyków. W świątyni panował półmrok i przyjemny chłód. Ściany i ołtarz były gołe, wyzwolicieli rozkradli wszystko, co miało jakąkolwiek wartość. Tylko witraże w oknach pozostały nienaruszone i w południowym słońcu rzucały na posadzkę kolorowe światła. Szedłem główną nawą pomiędzy rzędami ławek, wpatrując się w wiszącego nad ołtarzem ukrzyżowanego Jezusa. Cierniowa korona oplatająca skroń, wyraz męki na twarzy i oczy jakby utkwione w wiernych. On swoim prześladowcom wybaczył, my naszych zabijamy. Kiedyś myśleliśmy, że Polska jest Chrystusem narodów, dziś myślałem, że bliżej nam do dobrego łotra wiszącego na sąsiednim krzyżu. Zginie my w zapomnieniu, ale być może pierwsi będziemy w raju.

Z zamyślenia wyrwało mnie ciche chrząknięcie. Odwróciłem się i zobaczyłem stojącego w drzwiach chłopca.

– Dzień dobry, yyy... znaczy pochwalony Jezus Chrystus – wyjąkał, miętosząc w dłoniach czapkę.

– Na wieki wieków – odpowiedziałem machinalnie.

– Znaczy... Bo pan Bury mówił, że jesteście księdzem. – „Pan Bury”, tego jeszcze nie było.

– Zgadza się. Czego wam trzeba? – spytałem uprzejmie.

– Znaczy... Bo ludzie chcieli spytać, czyby ksiądz mszy dla nas nie odprawił. Jutro niedziela... Będzie już jakiś czas, jak naszego proboszcza Ruskie ubili, bo nie chciał kielichów mszalnych oddać – mówił, wpatrując się w swoje buty.

– Odprawię, jeśli chcecie, to odprawię. Jutro w południe?

– Tak, będzie dobrze! – rozpromienił się chłop. – A jakby kto... znaczy... do spowiedzi chciał... – Nadal patrzył pod nogi, wyraźnie unikał spoglądania na mój zakrwawiony i pokryty błotem mundur.

– Będę w kościele od rana – przerwałem mu, bo ta jego nieśmiałość zaczynała być męcząca. – Jak kto chce, to zapraszam.

Mężczyzna uśmiechnął się i zanim zorientowałem się, co robi, podszedł bliżej, ukląkł przede mną i ucałował w zakrwawioną dłoń. Potem szybko wybiegł, zostawiając mnie samego.

Postanowiłem trochę posprzątać kościół, w końcu jutro miałem odprawić tu liturgię. Podszedłem do prezbiterium i pod ołtarz. Stół pokryty był kurzem, walały się na nim jakieś śmieci. Zgarnąłem to wszystko na podłogę i spojrzałem na ścianę pod krzyżem. Pod tabernakulum z metalowymi drzwiczkami, wiszącymi na jednym

zawiasie, zobaczyłem plamę zaschniętej krwi. Pewnie tutaj dokonał żywota proboszcz starający się ocalić największy skarb swojej świątyni. Odchyliłem grube skrzydło, które zaskrzypiało i urwało się z ostatniego mocowania. Łoskot upadającego metalu rozniósł się echem. Tabernakulum było puste, wyzwoliciele zabrali wszystko. Z ciekawości przyjrzałem się leżącym na podłodze drzewczkom. Zdziwiło mnie, że Rusczy ich nie ukradli – zwykle są pozłacane i mają jakąś wartość. Bliższe oględziny wyjaśniły sprawę. Wykonano je z mało wartościowej połyskującej cyny. Podniosłem je z zamiarem odłożenia na bok, gdy usłyszałem, że w środku coś się przesuwa. Poruszyłem nimi jeszcze raz. Pomiedzy dwiema warstwami metalu była najwyraźniej pusta przestrzeń, w której coś schowano. Jeden z narożników uszkodził się podczas upadku. Z wysiłkiem rozgiąłem tam metal. Powiększyłem otwór i moim oczom ukazało się nieduże zawiniątko. Materiał był zupełnie zetlały i rozpadał się w palcach, ale chyba kiedyś był kapłańską stułą. Rozwinąłem go, niszcząc przy tym zupełnie, i zobaczyłem oprawioną w czarną skórę książeczkę, w przeciwieństwie do stuły w bardzo dobrym stanie. Zacząłem ją oglądać.

Tomik miał format nieco większy niż modlitewnik, ale zdecydowanie nim nie był. Napisano go dziwnym językiem, jakby dawną polszczyznę przeplataną zwulgaryzowaną łaciną. Niektóre stroniczki pokrywały diagramy czy wzory, na innych zobaczyłem rysunki roślin i kwiatów. Na pierwszej zauważyłem napisaną odręcznie, mało czytelną notatkę; pomiędzy niektóre strony włożono jakieś luźne, poskładane kartki.

Dalsze oględziny przerwał mi ruch przy wejściu do kościoła. Schowałem znalezisko do kieszeni munduru,

gdy do środka weszło kilka kobiet, prowadzonych przez zażywną matronę w średnim wieku.

– Znaczy... Bo my chciałyśmy posprzątać, przed mszą znaczy się. – Domyśliłem się, że to żona mojego poprzedniego rozmówcy.

– To bardzo miło z waszej strony.

– Plebanię już przygotowaliśmy. Jeśli ksiądz zechce, może tam spać. – Pulchna dama wyraźnie poczuła się ośmielona.

Kobiety zaczęły krzątać się po kościele, z wprawą uprzątając bałagan. Patrzyłem na nie chwilę, kolejny raz zastanawiając się nad potęgą wiary. Kilka godzin temu w miasteczku rozegrała się prawdziwa rzeź, krew nie wsiąkła jeszcze dobrze w ziemię, ale dla nich najważniejsze było, aby świątynia wyglądała schludnie podczas jutrzejszej mszy. Świątynia obojętnego Boga, który здаwał się teraz patrzeć w zupełnie inną stronę.

* * *

Plebania była niewielka, ale bardzo przytulna. Zaszyłem się w niej na resztę dnia, ciesząc się, że mogę w ciszy i samotności odreagować zabijanie.

Żołnierze po zwycięskiej bitwie zwykle świętowali, co było ładnym określeniem na pijaństwo i desperackie próby znalezienia kogoś, z kim można się przespać. Trudno im się dziwić, że chcieli korzystać z życia. W końcu każdy dzień mógł być naszym ostatnim, wszyscy żyliśmy w pożyczonym czasie.

W piecu buzował ogień, na łóżku leżała świeża pościel. Widać kobietom zależało, żeby było mi wygodnie.

Naniosłem sobie wody ze studni, zagrzałem na piecu i wykąpałem się. Przeprałem mundur, a kiedy samożwańcza przywódczyni sprzątających kościoł przyniosła mi obiad i butelkę wina domowej roboty, znów poczułem się prawie jak człowiek.

Wyczyściłem karabin i bagnet, a potem znów zabrałem się do oględzin tomiku znalezionej w kościele. W biblioteczce świętej pamięci proboszcza zostało wprowadzić kilka książek, ale tajemniczy, ukryty wolumin fascynował mnie znacznie bardziej niż żywoty świętych.

Czarna skóra oprawy miała dziwną fakturę, nosiła niewielkie ślady użytkowania. Na okładce brakowało tytułu. Papier był gruby, ale gładki, szeleścił przyjemnie podczas kartkowania. Druk mógł pamiętać jeszcze czasy Gutenberga, charakterystyczna średniowieczna czcionka pokrywała stronicę równymi rzędami. Na niektórych marginesach znajdowały się dopisane odręcznie krótkie notatki. Na stronie tytułowej ozdobnymi znakami stało:

GRYMUAR POLSKI

czyli rzecz o Mocy, Ziołach i Czarostwie Wszelakiem

Poniżej cienkim, pajęczym pismem ktoś dopisał ledwie teraz widoczną dedykację:

Każda wiedza jest dobrą, kiedy dobru służy.

S.

Grymuar – miałem więc w rękach księgę magiczną. W seminarium uczył o nich starszy ojczulek, ten sam, który opowiadał o egzorcyzmach i innych dziw-

nych sprawach. Właściwie żaden z młodych kleryków (ze mną włącznie) nie przywiązywał większej wagi do jego nauk. W końcu jak można było brać na poważnie historie o fizycznym opętaniu, wypędzaniu złego czy czarach. Mieliśmy przecież dwudziesty wiek, a nie średniowiecze. Tyle tylko, że to działo się przed wojną. Jeszcze w innym świecie, który wydawał się tak racjonalny i poznany. Wtedy demony były tylko metaforą, a nie drzemiącymi w ludziach potwornościami. Wtedy masowe mordy, okropieństwa wojny i czerwone olbrzymy były zwyczajnie nie do pomyślenia. Ciekawe, co stary ojczulek opowiedziałby o nich tym swoim monotonnym, usypiającym głosem. Być może zaniemówiłby z wrażenia, widząc, jak szatan bez skrępowania rozsyła swe sługi po świecie.

Nalałem sobie szklanekę wina i wróciłem do oględzin znaleziska. Dzieło nie miało autora. Na stronie tytułowej szukałem informacji o drukarni czy choćby daty, ale nic takiego nie znalazłem; za to umieszczony na następnej karcie spis treści wyglądał obiecująco.

Rozdziały „O magicznych ingrediencjach” czy „Ważenie mikstur” były bogato opatrzone szczegółowymi rycinami ziół, grzybów i innych składników oraz kociołków i kolb wyglądających jak pierwsze przybory alchemiczne. W „Piekielnej hierarchii” znalazłem spis diabłów polskich, ułożony (według autora) zgodnie z ich mocą i miejscem na piekielnej drabinie. Ciekawe, czy stary proboszcz wiedział, jak bluźnierczą księgę miał ukrytą w samym sercu małomiasteczkowego kościoła.

Grymuar był raczej trudną lekturą. Fragmenty napisane nieco dziwną łaciną przeplatały się z akapitami w archaicznej polszczyźnie. Rozczytywanie tego tekstu

zajął mi dłużej, niż myślałem. Ze zdziwieniem stwierdziłem, że za oknem zrobiło się już szaro. Dolałem sobie wina, zapaliłem kilka świec i kontynuowałem przeglądanie.

Zajrzałem nieco dalej, do części zatytułowanej „Rytuały pomniejsze”. Zgodnie z opisem we wstępie zawierał on „proste czary i gusa pożytku w codziennym życiu przysparzające”. Rzeczywiście, znalazłem tu informacje, jak pozbyć się kurzajek, jak spędzić płód, wyleczyć męża z pijaństwa albo rzucić zły urok na bydło sąsiada. Większość rytuałów wyglądała na naprawdę banalne i do tego nie wymagała zbyt wielu składników.

Alkohol lekko szumiał mi już w głowie, postanowiłem więc dla zabawy wypróbować któryś z przepisów. Nie, nie dla zabawy, przekonywałem sam siebie. Będzie to naukowa próba dowiedzenia ich nieskuteczności, przeprowadzona *in memoriam* sędziwego wykładowcy z seminarium.

Kurzajek na szczęście nie miałem, nikogo z pijaństwa nie zamierzałem leczyć, pomór bydła sąsiada też niezbyt mnie interesował. Przerzucałem kolejne kartki, aż trafiłem na rytuał pozwalający rzekomo „dóbr materialnych przysporzyć”. Czasem trudno było dokładnie przetłumaczyć te zapiski.

Dolałem sobie wina i zacząłem dokładnie wczytywać się w opis obrządku. Całość nie wydawała się zbyt skomplikowana. Wyjrzałem przez okno, księżyc był w odpowiedniej fazie. Zgodnie z instrukcją narysowałem węglem na podłodze niewielki diagram, mamrocząc nic nieznaczące zbitki łacińskich słów, dodałem kilka dziwnych symboli, w centrum umieściłem świecę. Według książki, aby sprowadzić moc, potrzebowalem własnej

krwi. Tekst nie precyzował ilości, zawierał jedynie przestrożę: „Uważaj, abyś się ze chciwości własnej nie wykrwawił”. Uznając, że kilka kropel musi wystarczyć, naciąłem kciuk bagnetem i pokropiłem diagram. Kapka krwi spadła na świecę, która zgasła z cichym syknięciem.

I to był właściwie koniec rytuału. Zgodnie z moimi oczekiwaniami nie zjawił się diabeł z workiem złota, sam worek złota zresztą też nie. Poczułem się bardzo głupio. Podpity kapłan odwróconego plecami Boga odprawia szamańskie czary, robiąc z siebie durnia. Może jeszcze rozebrać się do naga i skakać przez ognisko?

Niedbale zmyłem bazgroły z podłogi, dopiłem wino i położyłem się do łóżka. Śnił mi się stary ojczulek, kiwający głową i cicho mamroczący łacińskie sentencje.

* * *

PREMIERA
1 MARCA